

## Olga i ser



Oh, jaka Olga Lipińska! – powiedział by Jurek Dobrowolski o sobotnio-niedzielnej ciszy wyborczej. Olga, bo tak mówiliśmy w kabarecie Owca dla żartu zmieniając słowa. Zamiast ulga – Olga. A że Olga Lipińska była naszą koleżanką z STS, więc każdą ulgę tak nazywaliśmy. Dużo takich żartów było. „Nie czas żałować róż, gdy płyną lisy” – to też jeszcze z tamtych czasów kilku z nas pamięta. Sobotnia cisza była niczym zbawcza minuta przerwy między bokserскими rundami. Zbawcza dla widzów, bo to młódka na wciąż te same dwa ciosy – ten prawym dyszlem, tamten hakiem. A potem odwrotnie i najchętniej poniżej pasa. Finezja taka, że kto z widzów nie usnie – jego strata. Usnąć zaś wcale łatwo nie jest, bo głowy mamy ołowiane od tych wszystkich dysput, wywodów, dowodów i wypomnień, kto komu co powiedział i co chciał przez to powiedzieć, gdy to mówił.

A tu nagle sobota w ciszy jak odkrycie Kolumba – jest inny świat. Są inne kontynenty, są oceany, góry, egzotyczne ptaki i wieloryby. Ludzie pływają żagłówkami po morzach... Niestety, po niektórych już nie pływają ani ludzie, ani ptaki, ani ryby. W Zatoce Meksykańskiej ropa

wciąż wycieka – katastrofa ekologiczna, jakiej dawno świat nie widział. Oglądamy wolontariuszy walczących o pelikany, które i tak mają szanse maleńkie, bo razem z pożywnym planktonem nałykały się ropy. W którymś z czasopism popularnonaukowych wyczytałem, że 20 ton masy biologicznej żyjącej w oceanie przed setkami milionów lat wytryskuje dziś spod ziemi jednym litrem ropy. Ze mnie na przykład takiej ropy byłoby dwa do trzech gramów. Tyle mniej więcej atramentu zużywa moje wieczne pióro, by powstał ten felieton. Aż przerwałem na moment pisanie. To znaczy, że całego mnie zużywa? Taki jestem maleńki? Wychodzi na to, że tak.

Cisza przedwyborcza zakończyła się dla mnie w niedzielę miłą rozmową z młodym dowcipnym Mongołem, który podał się za korespondenta telewizyjnego z Ułan Bator. Dałem mu nawet swój telefon, bo powiedział, że robi rozmowy z nieciekawymi ludźmi. Świetnie mówił po polsku, opowiedział mi, że u nich jest inny sposób wyłaniania zwycięzców. Konkurenci siedzą na koniach i rzuca im się gomółkę sera. Ten wygrywa, kto ją chwyci. Jak się panu podoba nasz sposób? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Przyznałem, też się śmiejąc, że bardzo mi się podoba, bo jest prosty, widowiskowy i nadzwyczaj oszczędny. U nas by taki nie przeszedł nawet w żartach. Wiadomo, że ser byłby rzucały tendencyjnie. Pomyslałem, że ser mogłaby rzucać jedynie prof. Jadwiga Staniszkis, która nie potrafi

tego zrobić tendencyjnie, bo jest obiektywna i coraz bardziej demokratyczna. A rzucać mogłaby tyle razy, ile trzeba, by ser dostał się w dłoń człowieka, który według niej umiałby pokierować Polską. Oczywiście demokratycznie. Nie wiadomo zresztą, jak byłoby naprawdę, bo u nas reguły są płynne – może wygrać nie ten, który ser złapie, ale ten, kto wyrwie go temu, co złapał. Niektórzy uważają nawet, że tak jest sprawiedliwej.

Czy jeździec Komorowski mógł wygrać w pierwszej turze? Może. Gdyby się nie rozpułnął we wspomnieniach z internowania i z Powstania Styczniowego, to pewnie miałby większe szanse. Obaj „najbardziej frekwencyjni” łapali tę gomółkę sera, krzycząc o patriotyzmie i polskiej tradycji. I otwierali kolejne słoiki przetworów – ten ogórki kiszone z liściemi dębą, tamten zawokowane czereśniowe kompoty. A tu świeżyzny dookoła po pas i aż się prosi, by zająć się tym, co dziś rośnie, a jutro dojrzeje. No a przy okazji zrobili sobie niechcący konkurs kulawej polszczyzny, ale to też staje się tradycją, tylko że tą nową, świecą.

Trzeciego lipca kolejna Olga, aż do 20.00 w niedzielę. Gdyby tak co tydzień ustanawiano dwa dni politycznej ciszy, to byłoby pewnie o 20 proc. mniej zawałów, a życie piękniejsze. *Point de rêveries, messieurs!* Poziom zawałów pójdzie lekko w górę, a wyznaczony go poziomy dyskusji o prywatyzacji szpitali.

Na razie ser leży i Olgi nie ma.

S. Tym